Przyjaciel Ludu.

Rok trzeci. **No. 3.** Leszno, dnia 16. Lipca 1836.



Karnawał Rzymski.

Karnawał Rzymski.

(Dalszy ciąg.)

Za drugim wystrzałem z działa, całe wojsko papiezkie, jazda i piechota przeciąga w największéj paradzie przez Corso, tam i nazad, gęste za sobą zostawując straże. Trzeci wystrzał oznacza tryumfalny wjazd najpierwszego z świeckich urzędników, noszącego dotąd wspaniały tytuł „Senatora Rzymskiego", który ubrany w złotogłowéj sukni, krojem xv. wieku, w niemniéj staroświeckiéj, poszóstnéj ze szklannemi ścianami karecie, poprzedzony przez laufrów, mając za sobą dwie podobnež karety orszak jego wiozące, objeżdza wolnym krokiem główniejsze miasta ulice, udając się do kapitolu. Tam w wspaniałéj sali na tronowem krześle zasiadłszy, odbiera ponawiającą się corocznie przysięgę wierności od żydów w Rzymie mieszkających. Obrządek ten niegdyś ważny w istocie, dziś jest już tylko czczą formą. Rabin na czele deputacyi, ubrany czarno, we fraku i w materyalnym płaszczyku, do stroju xięży podobnym, zbliżywszy się pokornie do tronu, w krótkiéj lecz ozdobnéj mowie, upraszał o pozwolenie dalszego w Rzymie pobytu. Otrzymawszy je przyklęknął u nóg senatora, i składając na znak hołdu ogromny pęk kwiatów, wymówił głośno dawną rotę przysięgi: „Giuro la fedeltà al senato ed al popolo Romano." (Przysięgam na wierność senatowi i ludowi Rzymskiemu.) Senator przyjął kwiaty, i Rabina nogą potrącił; zabytek upokorzających obrządków, przez które niegdyś, chociaż dając opiekę, chciano przecież pogardę dla niewiernych okazać. Kiedyś także żydzi musieli dla zabawy ludu biegać codzień do mety przez ciąg karnawału; dziś miejsce ich zastępują konie; żydzi tylko muszą składać podatek na koszta i na nagrodę zwycięzcy.

Gdy się to dzieje w kapitolu, na ulicach tłok się coraz powiększa. Zaraz po przyjeździe senatora powozy mają wolność wjechania na Corso; i tu się rozpoczyna właściwy karnawał, od mięsopustnéj soboty do ostatniego wtorku, jednostajnym sposobem codzień oprócz niedzieli, od południa do wieczora trwający.

Czytelnik chcący z słów niedokładnych powziąć o nim jakieśkolwiek wyobrażenie, musi sobie wyobrażić długą na rzut oka ulicę, ciągnącą się jak ozdobny kurytarz między dwiema przepysznemi salami, między placem del popolo z jednéj, a placem di Venezia z drugiéj strony; zapchaną od końca do końca gwarliwém mnóstwem różnobarwnych ubiorów i masek, podobną do płynącéj rzeki głów ludzkich, nad któremi jak statki na wodzie, wznoszą się we dwóch rzędach powozy, tam i nazad zwolna idące, których koni w tłumie nie widać. Wszystkie okna od góry do dołu, nakształt żyjących obrazów, zapełnione rzędami, piętrami, piramidami twarzy, piór, kwiatów, czepków i kapeluszy kobiecych. Wszystkie krużganki, otwarte lub jaskrawemi namiotami przykryte, nie mniéj licznych zawierają widzów, jeśli ci widzami tylko chcą zostać. Gdyż zwykle osoby na krużgankach stojące, należą do najczynniejszych aktorów sceny, jaka się pod niemi odbywa. Oba wyżéj wspomniane place, pomimo swéj obszerności, nie różny od ulicy wystawiają obraz i natłok. Lecz próżnoby kto w całym tym tłumie chciał szukać kosztownych strojów, dowcipnych karykatur i masek; próżnoby nadstawiał ucha, by usłyszeć dowcipne rozmowy, lub tajemnicze przycinki masek, stanowiące główną zabawę naszych zwyczajnych maskarad. Nie widać tu prawie nic więcéj prócz weneckiego arlekina w kołpaku, rzymskiego pajazza, neapolitańskiego polliszynella z makaronem w ręku i w ustach; adwokata w dawnéj peruce; doktora z podkasaną togą i z pewném lekarskiém narzędziem etc. Role te pospolicie są mówne; obierają je zwykle najżwawsi i najweselsi, ufni w swój dowcip i płuca. Trudno jednak słyszeć co więcéj, prócz głośnych wykrzyków i śmiechów; a jeśli gdzie kilka zebranych masek zaczną z sobą dłuższą rozmowę, ta się bynajmniéj do ich ukrytéj osobistości nie ściąga; lecz owszem utrzymując każda swój przybrany charakter, odegrywają między sobą z natchnienia jakąś dramatyczną scenę, którą zebrany tłum widzów, podług zasługi aktorów, gwizdaniem lub oklaskami nagradza. Przedmiotem niemych, satyrycznych masek, są najczęściéj niedobrane małżeństwa: niski staruszek obok olbrzymiéj połowicy z wąsami; wychudły młokos przy opasłéj matronie i t. p. Daléj następują domina, i różne narodowe ubiory. Na placach widać niekiedy całe grona masek, wystawujące pantomiczne sceny. I tak na placu del popolo widziałem bandę zbojców napadniętych niby i broniących się żółnierzom. Żółnierzami były słomiane bałwany, w czerwonych mundurach, których zbójcy nożami i kolbami kłuli i zabijali. Scena ta, obudzająca wstręt i odrazę w oświeceńszych widzach, znać było że się bardzo podobała ludowi, który śmiejąc się, klaszcząc i wykrzykując: brawo! coraz tłumniéj rozbojników otaczał.

W powozach częściéj dają się widzieć kosztowniejsze ubiory i maski; lecz i tu najpospolitszym konceptem jest furman przebrany za kobietę, z wąsami. Większy przepych lub dowcip, można być pewnym, że cudzoziemca oznacza. Widziałem jak dwaj Anglicy, sami nie maskowani, przebrawszy pudla za kawalera rzymskiego, posadzili go między sobą w karecie; lecz oburzywszy publiczność tym żartem, wszyscy trzej poszli do kozy. Z krajowców nikt tu bynajmniéj nie sadzi się na ubiory i maski; gdyż każdy sam ogólną zabawą zajęty, zdaje się zapominać o sobie; nie chce i nie usiłuje, aby na siebie tylko oczy drugich obrócił. Toż samo dzieje się z dowcipem. Ktoby chciał w tém powszechném zamieszaniu i gwarze odznaczyć się i bawić drugich swoją rozmową; może być pewny, że i sam się

znudzi i nie znajdzie słuchaczów, a chociażby i znalazł, ci go nie dosłyszą za wrzawą.

Innego tu wcale rodzaju ogniwo łączy pospołu całe towarzystwo, bez różnicy stanu i wychowania: ogniwem tem są tak zwane confetti. Mają to być i powinny kminkowe białe cukierki; są zaś w istocie wapienne białe kamyki, na wzór cukrów robione, któremi wszyscy bez wyjątku, w maskach czy bez masek, znajomi czy nieznajomi, mają prawo i przywiléj ciskać nawzajem w oczy. Żart ten, prawie zawsze boleśny, jest najulubieńszą igraszką, pobudką najgłośniejszych okrzyków i śmiechów, główną cechą karnawałów włoskich. I w rzeczy saméj, jemu to przyznać należy ową poufałość, swobodę i pustotę dziecinną, która ówczesne zabawy Włochów, od zabaw wszystkich innych narodów odznacza.

Patrzając wzdłuż ulicy, rzekłbyś, że najgęstszy grad pada, tak bezprzestannie powietrze zaćmione jest białą chmurą w górę i z góry lecących konfettów. Piechotni niosą je w ręku w długich papierowych pakach, trzymając wysoko i chroniąc starannie, ażeby obca ręka sięgnąwszy do paczki, własnéj przeciw nieostróżnemu broni nie użyła. Jadący w powozach, mają je obok siebie w naczyniach lub w formalnych worach stojące; sypią niemi na wszystkie strony, grzecznym pierwéj ukłonem powitawszy znajomych, i sami parasolikami, w miejscu tarczy, zasłaniając się od wzajemnych pocisków. Ostrożność ta jest mianowicie potrzebną omijając niektóre balkony, do zbrojnych bateryi podobne. Biada powozom, które ciżba pod niemi zatrzyma; chyba, że śmiały obrońca, wskoczywszy na siedzenie, trafnym od razu rzutem zasypie napastnikom oczy, i cofnąć się z placu przymusi; albo też błagające krzyki dam zmiękczą srogość zwycięzców. W takim razie, jeżeli jeszcze damy są znajome lub piękne, często dla osłodzenia poprzedniczéj klęski, osypują je z lekka powtórnym gradem, nie już wapiennych, lecz prawdziwych „Pańskich konfettów“, (confetti da Signore) albo pęczkami fijołków. Jedne i drugie, skoroby chybiwszy powozu, na ziemię upadły, stają się natychmiast łupem małych chłopców, co jak delfiny za okrętem; upędzają się za powozami delle belle Signorine, w nadziei podobnéj zdobyczy. Szczególniejszy ten orszak biegnący za wozem piękności, możnaby było przyrównać do amorków, gdyby brudna ich odzież i twarze, podkasane nogi i ręce, i nocna szlafmica na głowie, zapędów imaginacyi nie psuły. Dziady w podobnymże stroju, uwijając się po ulicy, z ogromnemi koszami na plecach, każdemu za lichą cenę wapiennéj amunicyi dodają. Próżnoby kto w tym powszechnym boju chciał neutralnym pozostać: najcierpliwszy ujrzy się wkrótce zmuszonym do użycia praw własnéj obrony. Widziałem kilkunastu młodych malarzy niemieckich, którzy na jednym wozie, mirtem i dębowemi liściami uwieńczonym, sami za Druidów przebrani, jechali nie mając konfettów: i spokojną kontemplacyą zajęci, znosili cierpliwie z założonemi rękoma ciosy kamienistego gradu. Lud rzymski nieczynnością ich oburzony, sypał je na nich z szczególną zawziętością, biegnąc za ich wozem i krzycząc: difendetevi Tedeschi, difendetevi! „brońcie się Niemcy, brońcie się!“ Upomnienia te ustne i ręczne, tak się sprzykrzyły nakoniec cichym kapłanom lasu, że zaopatrzywszy się w dwa ogromne wory wapienników, tak nawzajem dali się we znaki, że gdziekolwiek wóz ich się zazielenił, słychać było różne wcale od pierwszych okrzyki: guardatevi, fuggite, ecco vengono i Tedeschi, strzeżcie się, uciekajcie, oto zbliżają się Niemcy!

(Koniec nastąpi.)

Ojców.

Komu obce kraje znane,
Wstydem lica twe zarumień,
Jeśliś widział Tybr, Sekwanę,
A Prądnika minął strumień.
Po co szukać obcych krajów,
Alp odwiedzać grzbiet wysoki?
Wśród Ojcowa skał i gajów,
Równie szczytne masz widoki.

Fr. Sal. Dmo . . .

Między Krakowem i Olkuszem, na znaczném wgórzu, roskoszną doliną do okoła otoczoném, wznoszą się mury starożytnego zamku Ojców zwanego. Zamek ten założony został przez Kazimierza W. na pamiątkę przebywania tu Ojca jego Władysława Łokietka, podczas napadu Czechów. Okolica ta, słusznie Szwajcaryi polskiéj nosi nazwisko. Tam zdumione oko widza spoczywa na szczytach skał, pieści się z różnofarbną doliną, po któréj szumiący Prądnik, to wciska się pod skałę, to kryje w zaroślach, lub wspaniale przerzyna kwieciste łąki, to walczy z młynami i rozkropla się w milliony pereł, i płynie jako tętnowa żyła przyrody. Do zamku prowadzi most wysoki, wystawiony jakby na umyślnie zbudowanéj w tym celu grobli. Kształt zamku i wielkość odpowiada położeniu i szerokości skały; ku stronie północnéj jest wysoka wieża z ciosowego kamienia, silniéj opierająca się zniszczeniu, aniżeli zamek. Wieś Ojców, rozłożona pod stopami zamku, była własnością starostów: Płazów, Łubieńskich i Załuskich. Na sejmie extraordynaryjnym roku 1775 Brühl jenerał artyleryi otrzymał starostwo Ojcowskie na lat 50; lecz w roku 1795 odstąpił praw swoich Przerębskiemu a późniéj Duninowi Wąsowiczowi. W ostatnich czasach Józef Załuski odstąpił Ojcowa za starostwo szydłowskie. Podług świadectwa Łubieńskiego, była tutaj fabryka szabel i prochu.

Akta miejscowe zaginęły i z trudnością wyśledzić można, jakie koleje ów starożytny zamek przechodził. Starzy mieszkańcy Ojcowa pamiętają jedynie pobyt króla Stanisława Augusta, który w powrócie z Krakowa zwiedzał Grodzisko,



Zamek Ojców.

Ojców i Pieskową-Skałę. Zamek Ojcowski z położenia swego obronny, wzmocniony był jeszcze podwójnemi okopami: od lat 30 opuszczony, przedstawia smutne zwaliska. Na ścianach tu i owdzie widać ślady malowideł, pokoje zawalone rumowiskiem, szczątki pieców i kominów przekonywają o niedawném jeszcze zamieszkiwaniu. Kaplica zamkowa, w miejscu najdłużéj zniszczeniu opierającém się, najlepiéj dochowana. Po murach pną się pasożytne krzewiny; posępny widok! Skały ustrojone w majowe wieńce: piękne w dolinie zagrody, odgłosy ptasząt leśnych, tworzą dziwną harmonią zgrzybiałości i wiecznéj wiosny. Opodal w górach otaczających zamek, są dwie ogromne jaskinie, pierwsza zwana królewską, pamiętna ukrywaniem się Władysława Łokietka, druga nazwana ciemną, obfituje w sople stalaktytów, wciąż tworzących się z ocklin skały. Wnijście do niéj jest utrudnione i szczupłe. Blask świecącéj pochodni i odgłos niezmiernie rozlegający się w podziemnéj przestrzeni, wprowadzają myśl podróżującego w niezwykłe zadumienie. Noc wieczna, krainy podziemne, obok prześlicznéj okolicy są prawdziwą poezyą przyrody, są obrazem naszéj myśli, jednoczącéj przemysłowe, natchnione chwile, z obrazem nieszczęść i śmierci.

(Pam. kr.)

Władysław IV. († 1648.)

(Z panowania Władysława IV. przez Kwiatkowskiego.)

Był Władysław IV. wzrostu średniego, twarzy w młodości pięknéj, a w późniejszym wieku przyjemnéj, włosy miał ciemne, oczy żywe, postać całą poważną; lecz w dalszym swoim wieku zbyt zrobił się otyły i ociężały, do czego długie, dla częstych słabości w łożku leżenie, najwięcéj się przyczyniło. Od pierwszéj młodości obrawszy sobie strój polski, co mu ojciec do wyboru zostawił, zwykle go używał: *) włosy długie, prosto z przodu i z tyłu sczesane, wąsy i brodę krótką, ze szwedzka podstrzyżoną nosił. Bogate szaty i order złotego runa (zob obr.) rzadko kładł na siebie, przenosząc powierzchowną prostotę nad wymuszony przepych na osobie swojéj. Na dworze zaś i w panach, bok jego otaczających, okazałość rad widział; wspaniałe publiczne wjazdy, kosztowne na dworze widowiska, włoskie śpiewania i muzykę, hojne uczty bardzo lubił: na co częstokroć tak skarb swój wycieńczony mie-

*) Jednak zapewne w czasie nadzwyczajnych u dworu uroczystości, musiał innego (cudzoziemskiego) używać stroju, i w takim przedstawia nam go obrazek.



Władysław IV.

wał, że nieodbyte potrzeby na bórg opędzać przychodziło. Rozrzutność jego nie tylko pokazała się za życia ojca w podróżach przez Niemcy, Francyą i Włochy odbytych, gdzie mając znaczne dochody, długi jeszcze pozaciągał, ale i w późniejszym czasie, w przyjmowaniu żon, odprawianiu pogrzebów, wyprawianiu poselstw.

Z przyrodzenia był zdrowia mocnego, więc w młodości prędko po chorobach do zdrowia przychodził, i mógłby je był zupełnie pokrzepić, gdyby był tylko w sposobie życia wstrzemięźliwość zachowywał.

Z przyrodzenia Władysław nie był to geniusz zadziwiający, lecz człowiek roztropny, pojętny, do którego edukacya, stósowna do stanu, dobrze przystała; w młodości dość był żywy, niekiedy do gniewu i popędliwości skory, która tylko moment trwała; ale oraz pan łaskawy, oraz niepamiętający, przystępny i wesoły, czemu szczególniéj przy biesiadach łatwo się było przypatrzeć. Temi przymiotami od pierwszéj młodości pozyskał sobie Polaków serca, czego dowody i za życia ojca i przy obraniu jego na tron jawnie się okazały, a szczęśliwe zwycięstwa, powiększenie granic państwa, ustalony pokój, miłość powszechną w narodzie mu powiększyły. Jak w młodym wieku był bystry w objęciu rzeczy, żwawy, czynny, na znoszenie trudów wojennych wytrzymały; tak w ciągu panowania swego, pokazał się niezmordowany w pracy, w wyrokach sprawiedliwy, w zamysłach rozważny, w sprawach publicznych pełen dobrych chęci, którym słabowitość tylko częsta zdrowia na przeszkodzie bywała, ale nigdy w nim grzeczności nagannéj nie sprawiła. Zgoła w panowaniu swojém więcéj się okazał być wojownikiem niż politykiem, więcéj łagodnym i powolnym, niż groźnym i czynnym.

Zapiecek.

(Dokończenie.)

Zapiecek uszczęśliwiony posiadaniem cudnego anioła, mało się troszczył oto, co król o ich losie postanowi; przeciwnie zaś królewna pogrążona była w wielkim smutku, że zacząwszy dopiero kosztować słodyczy małżeńskiego stanu, tak marnie ginąć musi. Osadzeni w bani i wrzuceni w morze, z razu o niczem nie wiedzieli: śmierć okropna stojąc przed oczyma, wszelką im odjęła przytomność. Zapiecek pierwszy przyszedłszy do siebie i obejrzawszy się na około po swem niebezpieczném mieszkaniu, przekonał się wkrótce, iż bez nadzwyczajnéj zręczności nie podobna będzie ocalić bani, a tem samem uniknąć śmierci. Tu wieloryby i potwory morskie otwierają straszliwe paszcze, tam znowu sterczące skały, pewném grożą rozbiciem. Trzeba było wielkiéj odwagi i biegłości, aby ujść tylu niebezpieczeństw. Zapiecek zaczął sterować, wywijać się pomiędzy skałami i hakami, aby się bania nie rozbiła lub na piasku nie osiadła. Znużony ciężką pracą zasnął słodko przy swéj cudnéj królewnie i śniło mu się o kołaczu, kłóskach, kiełbaskach i kwaśnéj kapuście, które dawniéj u swéj matki z największym zjadał appetytem. Na pół we śnie, w pół na jawie, wyrzekł owe znane nam słowa, aż to ujrzał stolik między sobą, a swą dostojną małżonką z wymienionemi wiejskiemi przysmaczkami. Jak głodnego Zapiecka ucieszył, tak królewnę przeraził zapach kapusty i widok łokciowéj kiełbasy pływającéj w rumianym sosie, jak wieloryb po morzu. Już je zgłodniały sternik pożerał oczyma, gdy Jéjmość nagle dostała spazmów i przerwała mu smaczny wiejski obiadek. A pfe! rzekła królewna, cóż ja to widzę? chłopskie przysmaczki na stole królewskiego zięcia? fidonc! udusi mnie ten brzydki zaduch: ach! dla Boga, mdleję: ratuj twą kochającą żonę: Zapiecek

w strachu, tysiąc życzeń wyrzekł w téj krytycznéj chwili: wódka kolońska, perfumy, olejki różane, wszystko to było na placu i wszystko niewiedzieć jak stanęło na jego rozkazy. Wkrótce też królewnę ominęły mdłości, gdy na żądanie Zapiecka, zamiast wiejskiéj strawy, ujrzano najwyszukańsze francuzkie przysmaczki i włoskie łakocie. Miękkie to było i niesmaczne dla strawnego żołądka naszego Zapiecka; jednak tenże obawiając się powtórnych mdłości swéj żony, zajada, i chwali jak może wykwintne potrawy; a wpadłszy już raz na pański tor, zaczął rozmyślać nad tém, jakby to napotém po pańsku, a raczéj po królewsku żyć na świecie. Przy pomocy boskiéj i wiadoméj opiece czarodziejskiéj rybki przypłynęła bania na wyspę, obfitującą we wszystko. Tutaj, stłukłszy banię, wylądował Zapiecek, a nie tak z właśnéj woli, jako raczéj dla przypodobania się swéj dostojnéj małżonce, wiadomym sposobem wystawia przepyszny pałac, w najpiękniejszéj okolicy, umeblowany z największym przepychem: ekwipaże, lokaje, kassa zawsze pełna, wszystko to było na ich zawołanie. Ich sława wkrótce po całéj się wyspie rozeszła, a co większa, doszła nawet uszu Jego królewskiéj mości teścia, który teraz zmieniwszy swe dawniejsze postanowienie, nie tylko zięciowi łaskawie przebaczyć raczył, ale na dowód swéj szczególniejszéj łaski (inni mówią, że to uczynił z ciekawości, aby oglądać wspaniały pałac i przekonać się o przepychu onegoż) przyjechał także odwiedzić zięcia swego, a teraz wielkiego xięcia. Nie będę opisywał obiadów, ust hucznych i różnego rodzaju zabaw, z powodu przybycia tak znakomitego gościa dawanych; boć zapewne nie jedli, nie pili, niebawili się inaczéj, tylko tak, jak i my się bawimy, zwłaszcza, kiedy jesteśmy w dobrym humorze, i po nas bawić się będą. Wreście kto wie, czy nie gorzéj? bo wielcy panowie ten zysk z swéj wielkości odnoszą, że się bardziéj nudzą.

Gdy więc pewnego razu Zapiecek, a teraz wielki xiążę, wstał z królem i gośćmi swymi od stołu, odezwał się do nich w te słowa: „Jużeście, moi panowie, wiele pięknych rzeczy w mym pałacu oglądali, ale żaden z was nie widział jeszcze przepysznego ogrodu; mówię przepysznego, bo jestem pewien, iż nikt z panów nie ma nic podobnego u siebie, dla tego też klucz od niego zawsze przy sobie noszę, i tych tylko tam wpuszczam, którym chcę dać dowód szczególniejszéj łaski: jest to zaszczyt, który w równi kładę z udzieleniem orderu złotego runa. Lecz, kto chce oglądać mój ogród, musi się przysięgą zobowiązać, że nieruszy żadnego owocu, choćby mu niewiem jak zasmakował. Wszyscy byli ciekawi widzieć tak zachwalane specyały, a zwłaszcza król. Po złożeniu przysięgi, wpuszczeni do ogrodu; ale jakież było ich zadziwienie, gdy zamiast oranżeryi, ananasów, cytryn i złotych pomarańczy, których się tutaj spodziewali, zamiast angielskich plantacyi, ujrzeli się w prostym wiejskim ogrodzie. Kartofle, dynie, kapusta, brukiew, ogórki, zastępowały miejsce melonów i ananasów; gruszki, śliwki, jabłka, miejsce cytryn i pomarańczy. Wszyscy goście przez grzeczność admirują ogród, oglądają zagony, zdobywając się na nowe coraz pochwały. Tymczasem Zapiecek kazał swemu nadwornemu ogrodowemu, aby upatrzył chwilę, jak się goście jego zagapią, i nakładł cichaczem teściowi w kieszeń ulężałek. Zrobił jak kazano: a przy wyjściu postawiono straże, nuż rewidować i przetrząsać każdego, czy nie ma przy sobie kontrabandy. Znaleziono u króla ulężałki. Wstyd go było, że tak podły owoc znajdował się w jego kieszeni, ale co gorsza, zięć z grzecznego gospodarza, przybrawszy minę surowego pana, rzecze groźnie: „złamałeś przysięgę teściu mój, wiesz, co cię czeka — śmierć niechybna.“ Jeżeli dla kogo, to szczególniéj dla wielkich panów, opływających we wszystko, śmierć najmniéj pożądanym jest gościem. Zbladł król ze strachu, i nuż prosić zagniewanego zięcia swego, aby tego nie brał tak ściśle. Dał się wreście ubłagać i rzecze: „mógłbym się teraz zemścić za to, żeś mnie w morze wrzucić kazał, jednak nie uczynię tego; bo szlachetniejsza jest darować urazy i przebaczać tym, którzy nas skrzywdzili, niżeli się mścić na bezbronnym nieprzyjacielu.“ Była to ostatnia przygoda głośniejsza w życiu naszego Zapiecka. O dalszych jego dziejach, tyle tylko wiary godni powiadają ludzie, że był szczęśliwy, miał kilkoro dzieci, które mu pięknie wyrosły, i że do śmierci pielęgnował starannie ów wiejski ogród, a to na pamiątkę niskiego stanu, z którego powstał.

Kronika literacka.

Silvio Pellico: O powinnościach człowieka, przełożył z wł. M. W. Kraków u Czecha 1835.

Któż z nas, widząc pomnażające się piśmienne bogactwa, nauce i zbudowaniu przeznaczone, wdzięczném sercem niepodziękuje niebu za to, że udzielając mu umiejętności powszechniejszéj czytania, korzystać z nich pozwoliło? Poznanie i rozważanie koniecznie człowiekowi potrzebnych przedmiotów, ułatwione dobrze napisanemi książkami, rodzi zupełnie nowe, nieznane dotąd rozkoszy, jedna odludka z społecznością, wzbudzając w duszy cnotliwą ochotę, przykładania się, według możności, do jéj dobra. Do osiągnienia tego ważnego celu, zdaje nam się, zdolną jest przyłożyć się nie mało, lubo nie wielkiéj objętości, lecz ważna dla każdego książeczka, wyszła na końcu roku przeszłego, w Krakowie, nakładem Józefa Czecha, pod napisem Silvio Pellico, o powinnościach człowieka przełożył z włoskiego M. W. jeśli nam zgadnąć wolno, uczony autor sposobu tłumaczenia metody Bakona. Dziełko to jest zbiorem przestróg ojcowskich, które nietylko młodzieńcowi, ale każdemu, ktoby chciał chodzić

drogami cnoty, oraz bojaźni bożéj, występującemu na świat Chrześcianinowi, za przewodnika posłużyć mogą. Życzyćby należało, aby się w ręku każdego młodzieńca znajdowało; zwłaszcza, że jest nie wielkie, niedrogie do nabycia, pięknym językiem, czysto i wyraźnie na białym papierze wydrukowaném; słowem wszystkim warunkom pism przeznaczonych dla młodzieży odpowiadającém. Każdą powinność lub przestrogę, jasno i w sposób zniewalający serce wykłada, a co główną jest rzeczą, iż autor dziełka tego, przez smutne losu przeszedłszy koleje, o wszystkiém z doświadczenia mówi. Niechaj nam wolno będzie przytoczyć tu za przykład, rozdział o miłości ojcowskiéj i o miłości dzieci.

„Udarować ojczyznę dobrymi obywatelami, udarować Boga samego godnymi jego wyznawcami, to będzie twoim powołaniem, jeżeli będziesz miał dzieci. Szczytne zaiste powołanie! kto je bierze na siebie, a uchybia mu, największym jest ojczyzny i Boga nieprzyjacielem.

Zbyteczną by było rzeczą wyliczać cnoty ojcowskie: mieć je będziesz wszystkie, jeżeliś był dobrym synem, dobrym mężem. Ci, co są złymi ojcami, byli pewno niewdzięcznymi synami, niegodnymi mężami.

Lecz, nim się potomstwa doczekasz, a nawet chociażbyś go i nie miał, niech słodkie uczucie miłości ojcowskiéj umysł twój uzacnia. Każdy człowiek powinien je żywić w sercu swojém i obracać na korzyść wszystkich dzieci, na korzyść całéj młodzieży.

Bądź pełen miłości dla tych młodych społeczeństwa latorośli. Ten, co dziećmi pogardza, lub je bez powodu trapi, jeżeli nie jest złym, będzie nim niezawodnie. Ten, co niepostępuje z największą na niewinność dziecięcia bacznością; co się nie strzeże, by go czegoś złego, lub sam nie nauczył, lub drugim nauczyć nie dozwolił, co się nie stara, by w umysł dziecinny miłość do cnoty jedynie zaszczepić, może czasem być przyczyną, że to dziecię poczwarą się stanie. Lecz, po co tu na mniéj ważnych opierać się słowach, a nie odwołać się raczéj do tych strachem przejmujących i najświętszych słów, wyrzeczonych przez najlepszego dzieci przyjaciela Śgo Odkupiciela naszego. „Kto przyjmuje do siebie, mówi on, jednego z tych maluczkich w imię moje, mnie on „przyjmuje. Lecz, ktoby zgorszył jednego z tych „maluczkich, co we mnie wierzą, lepiéj, żeby mu „przywiązano kamień młyński do szyi, i wrzucono w otchłanie morskie.“

Tych, którzy są znacznie młodsi wiekiem od ciebie, na których twój przykład, twój głos wiele wpływać może, tych wszystkich uważaj za dzieci twoje, w obejściu się twojém z niemi bądź gorliwym i pobłażającym zarazem, tym sposobem najpewniéj oddalisz ich od złego, a do dobrego zachęcisz.

Wiek dziecinny jest z natury naśladowczy; jeżeli starsi, którzy zwykle z dziecięciem przestają są pobożni, godni, uprzejmi, dziecięcia chęcią będzie również być takim, i będzie takim. Jeżeli zaś starsi są bez religii, bez godności, bez dobroci charakteru, dziecię będzie także najgorszém.

Bądź dobrym nawet dla dzieci i młodych ludzi, których rzadko widzisz, z któremi raz może w życiu mówić ci się przytrafi; powiedź im, gdy się poda do tego sposobność, słowo jakie, coby było do cnoty ponętą. To twoje słowo, twoje jedno spojrzenie, może ich od nikczemnéj jakiéj odwieść myśli, może ich zachęcić do zasłużenia sobie na szacunek uczciwych ludzi.

Jeżeli jaki pięknych nadziei młodzieniec w tobie swe pokłada zaufanie, okaż mu się prawdziwym przyjacielem, wspieraj go zdrowemi i prawemi radami, nie pochlebiaj mu nigdy, oddaj poklask chwalebnym jego czynom, lecz chroń go od niegodnych, nie szczędząc w razie surowéj nagany.

Jeżeli widzisz, młodego człowieka na drodze do złego, chociażbyś też i niemiał z nim wielkiéj zażyłości, nie omieszkaj przy sposobnéj ku temu porze, podać mu ręki, by go ratować. Nie raz może młodemu, co na złą wstępuje drogę, dosyćby było jednego słówka, jednego skinienia, by go wstydem zapłonionego, na dobrą znowu wprowadzić.

Nie pojąłbyś nigdy jakie wychowanie moralne masz dać dzieciom twoim, gdyby twoje własne nie było jak najlepsze. Staraj się więc o nabycie go, a dzieciom wtedy podobne udzielisz.“

Bitwa pod Poniecem w roku 1704.

Wiele miejsc nieznacznych w W. X. Poznańskiem ma historyczną sławę, lubo mieszkańcy ich zaledwie wiedzą, co na ziemi, po któréj chodzą, nie tak dawnemi czasy się działo. W roku 1704 uchodził August II., pozbawiony tronu, przed ścigającymi go Szwedami z okolic Warszawy do Krakowa, chcąc tam ściągnąć wszystkie korswoje pusy. W Wielkiéjpolsce stał z oddziałem piechoty saskiéj Jenerał Szulenburg, mający za królem wzdłuż Szląskiéj granicy, do dawnéj stolicy pospieszać. Posłuszny rozkazowi Monarchy, szedł w zaleconym sobie kierunku, gdy nagle pod Poniecem 7. Listop. 1704 zaszedł mu drogę ścigający Augusta, Karól XII. Było około godziny 4téj po południu, gdy pierwsze kolumny saskie spostrzeżono: Jenerałowie Szwedzcy radzili, aby król pozwolił wypocząć znużonym żołnierzom i koniom, i dawszy się zebrać wszystkim oddziałom, nazajutrz dopiero uderzył na nieprzyjaciela. Lecz Karól, uniesiony żywością wrodzoną, natychmiast chciał uderzyć, lubo Szulenburg z talentu wodza był znany powszechnie, i mocne zajmował stanowisko. Wojsko jego formowało czworobok, którego boki zasłaniały działa. Pierwszy szereg żołnierzy przykląkł na jedno kolano, z spuszczoną bronią, drugi i trzeci, gotowe były do strzału. Prawe skrzydło opierało się o miasteczko Poniec,

lewe o bagna nieprzebyte: przed linią była sadzawka szeroka, a za nią ustawione wozy z amartami. Tak mocne stanowisko nie zastraszyło młodego wojownika. Dano znak do attaku: przy pierwszém natarciu jazdy, pierzchły 4 szwadrony dragonów szwedzkich: piechota, któréj przywodził sam Szulenburg, pięć razy przymusiła Szwedów do odwrotu. Rozgniewany Karól nowe roty prowadził na nieprzyjaciela, lecz ogień ciągły pomieszał jego szyki i znaglił do odwrotu. Czekano drugiego dnia. Noc ciemna sprzyjała Sasom, iż niepomiarkowani przeszli przez Poniec i udali się ku Gurau: późno dowiedziano się o ich odwrocie, wysłano za nimi pogoń, lecz Szulenburg umiał ze wszystkiego korzystać i łudzić Szwedów. Gęsty las ciągnął się aż do brzegów Odry i zasłaniał miejsce, gdzie się zamyślał przeprawić przez tę rzekę: obsadził go Szulenburg małemi oddziałami, które wstrzymywały nieprzyjaciela, dopóki nie sporządzono kilku tratew do przeprawy; i lubo stracił przytem, 8 armat i nieco ludzi; odwrót jego więcéj mu przyniósł sławy, niż nierozmyślny napad Karólowi zaszczytu.

Przysłowia i piosnki gminne.

Kogo P. Bóg chce skarać, to mu wprzód rozum odejmie.
Ogolił go bez mydła.
Czyja kosa pierwsza, tego łąka szersza.
Kogo stanie na ryby, tego stanie i na pieprz.
Żeby kto był wieszczy, toby był bogaty.
Na to kowal ma kleszcze, żeby się nie sparzył.
Ciekawość pierwszy stopień do piekła.
Kota w miechu nikt nie kupuje.

Morawianka.

Czy pod olsyną
Czyli pod lescyną
Idzie pasterecka,
Gdyby przepiorecka.
Za rąckę ją chwytam
Gdzie ty idziesz? pytam.
„Dejże pokój
Jak cię prosę
Ino trzodę z pola spłosę.
A moja dziewcyno
Nawrócę ci trzody
Dać mi musis ino
Buzuleńki przody.
Cóż ci z mojéj buzi przyjdzie,
Od morawki ktoś tam idzie.
Jego się nie boję
Ino owszem pragnę,
Jak mi niedasz buzuleńki
Wianek ci ukradnę.

Byłeś ty Jasiu we Lwowie,
Była Kasieńka w Krakowie,
Kasia do Jasia tużyła
Pare wianeczków uwiła,
Na bystry Dunaj rzuciła.
Płyńże wianeczku do młyna,
Jaś białe rączki umywa.
Płyńże wianeczku tam nazad
Będziesz u Kasi na obiad.
O mój Jasieńku klejnocie
Chodziłam za tobą w złocie.
Oj teraz będziesz w zieleni,
Pójdzieszci za mąż w jesieni.
Oj niescęsnaż ma godzina
Com ci przy śmierci nie była.

Kiéj będzie słońce, pogoda,
Pójdze Jasiu do mego ogroda,
Nawąchać się ziołka pachniącego
Napatrzyć się licka czerwonego.
Cóż mi po téj rumianości
Kiéj nie mam do ciebie wolności.
Upadniejże matce do nóg
Będziesz miał wolność dalibóg.

A jak ci ja na wojenkę pojadę,
Weźmę z sobą pistoletek i sable,
A jak ci mię na wojence zabiją
Zieloną mię chojenecką nakryją,
A będą mię kawki wrony dziobały,
A będą mię grzecne panny płakały,
Moje grzecne panienecki niepłaczcie
Ino za mnie gorzałeckę zapłaćcie.
„Bo my ją to z tobą Jasiu piły,
„Żeby my ją teraz za cię płaciły.“

Żebyś ty był dobry, Jaśieńku
Kazałbyś mi do dnia spać,
Aleś ty się innym zalecas,
A mnie każeś wołki gnać,

Idzie woda między dęby,
Najmilejsa daj mi gęby.
Jabym gęby nie wzbraniała
Byle matka nie widziała;
Idzie woda a nie leje
Moje serce do cię mdleje.

Zakukała kukawecka koło ogroda,
Bije deszczyk, bije nawalnica,
Nieutrzyma w ręku leca woźnica,
Leje się z koników woda.

Złamała się, zerwała się młynarzowi grobla,
Co chodziła po niéj dziewcyna nadobna,
Naprawiałbym, budowałbym młynarzowi groblą
Żeby mi ino dał dziewcynę nadobną.

W Księgarni Wydawcy wyszedł
portret ś. p. Xiecia Ord. Sułkowskiego,
podług obrazu P. Krüger, na kamieniu wykonany.
Cena ex. na pięknym papierze 20 srbg., na chińskim 6 złtp., olejno kolorowanego 24 złtp. ze złotemi ramami 30 złtp. Wszystkie księgarnie za tę samą cenę żądającym wręczyć go mogą.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Red. Ciechański.)